

HIM

historia i media

Historiaimedia.org to pierwszy polski projekt poświęcony zagadnieniom relacji między historią a mediami. Rola mediów w kulturze historycznej, ich wpływ na kształtowanie świadomości przeszłości, internet i nowe technologie w badaniach i edukacji historycznej, historia w sztuce współczesnej – to tylko niektóre z tematów poruszanych na tej stronie.

Zapraszamy do odwiedzenia strony historiaimedia.org

Zachęcamy do zapoznania się z przykładowymi artykułami opublikowanymi w 2011 roku w portalu Historia i Media.

Spis treści:

Strażnicy przeszłości czy wynalazcy przyszłości? – strona 2
Nowe wyzwania dla muzeum: NMC Horizon Report 2011 – strona 7

O pamięci na Facebooku – Memory at War forum – strona 9

Fading Community – blok jako przestrzeń dziedzictwa – strona 11

Trzy argumenty przeciwko archiwizowaniu internetu – strona 12

Koniec świata 2.0 – strona 16

Siedem grzechów polskich konferencji naukowych – strona 19

Strażnicy przeszłości czy wynalazcy przyszłości?

Stanisław Krawczyk

Henry Jenkins jest jednym z najsylniejszych współczesnych medioznawców. Znany polskiemu czytelnikowi z wydanej w 2007 roku *Kultury konwergencji*, wielokrotnie wypowiadał się na temat społeczności fanowskich, zbiorowej inteligencji czy też sieci 2.0. Mniej rozpowszechniona w naszym kraju wydaje się jego refleksja nad rolą humanistyki w świecie nowych mediów. Poniżej referuję i komentuję tekst poświęcony temu zagadnieniu: *From Home(r) to the Holodeck*¹. Stanowi on pisemną wersję referatu, który wygłosił Jenkins w 1998 roku w Sydney podczas konferencji *Post-Innocence: Narrative Textures and New Media Conference*.

Ostatni wyraz w tytule wystąpienia zainspirowany został książką Janet Murray *Hamlet on the Holodeck* („Od

Hamleta do holodeku”). W publikacji tej autorka posłużyła się nazwą fikcyjnej technologii z serialu Star Trek, umożliwiającej tworzenie niezwykle wiarygodnych symulacji rzeczywistości; holodek stał się dla Murray, a potem również dla Jenkinsa, symbolicznym przedstawieniem możliwości dzisiejszych komputerów. Z kolei słowo Home(r) jest efektem ciekawego zbiegu okoliczności. Zgodnie z pierwotnym zamysłem Jenkinsa nazwa referatu miała się odwoływać do dorobku greckiego poety, aby w ten sposób wyrażać przeświadczenie o ciągłości starszych i nowszych mediów, a zarazem przekonanie, że nawet bardzo tradycyjna myśl humanistyczna może wciąż być użyteczna. Tymczasem przypadkowy błąd sprawił, iż w tytule znalazło się słowo Home, co zmieniło jego wymowę, kładąc nacisk na różnice między oswojonym wnętrzem domu a obcą przestrzenią holodeku. Takie odczytanie może przywołać na myśl wartościującą opozycję między starą i uporządkowaną

¹H. Jenkins, *From Home[r] to the Holodeck: New Media and the Humanities*, http://web.mit.edu/comm-forum/papers/jenkins_fh.html

rzeczywistością książki a nowym, chaotycznym światem komputera, postawioną przez Svena Birkerta w *The Gutenberg Elegies* („Elegiach Gutenberga”).

Utopia i apokalipsa

Birkert i Murray reprezentują dwa przeciwstawne podejścia w namyśle nad współczesną humanistyką, określone przez Jenkinsa jako apokaliptyczne i utopijne. Stawką w sporze jest to, w jaki sposób zdefiniujemy zadania humanisty: może on zostać uznany zarówno za strażnika przeszłości, jak i wynalazcę przyszłości. Po zarysowaniu tej opozycji Jenkins poddaje refleksji drugi jej człon, stwierdzając, że w dyskursie współczesnej humanistyki żywo obecna jest idea cyfrowej rewolucji. Analiza kilku sposobów jej pojmowania prowadzi amerykańskiego medioznawcę do konkluzji, iż marzenia o radykalnej zmianie pojawiają się zarówno wśród myślicieli prawicowych, lewicowych, jak i tych, których trudno uznać za reprezentantów którejkolwiek z tych kategorii. Rewolucyjna retoryka wskazuje na niezadowolenie z obecnego stanu świata, a komputer ma się stać drogą ludzkości do utopii. Równocześnie taki dyskurs budzi ostry

sprzeciw tych, którzy są zbyt mocno zakorzenieni w dotychczasowej rzeczywistości, aby wyrazić zgodę na radykalną zmianę.

Trzeba teraz poczynić pewną uwagę. Kiedy Jenkins przygotowywał swoje wystąpienie, idea cyfrowej rewolucji niewątpliwie była nośna i żywa. Obecnie, gdy zdążyliśmy już oswoić się z nowymi mediami do tego stopnia, że nie wiadomo, czy można jeszcze określać je mianem nowych, ton wypowiedzi dotyczących zdigitalizowanego świata wydaje się bardziej wyważony. Czy jednak zmiana ta oznacza, że refleksja Jenkinsa stała się bezprzedmiotowa? Jak pisze, *utopijna wyobraźnia jest ważnym składnikiem każdego ruchu politycznego*; dla przykładu, ideał swobodnego dostępu do mediów cyfrowych pomaga dostrzec znaczenie przeszkód utrudniających pewnym grupom ludzi czynny udział w świecie nowych mediów. O ile nadzieje związane z digitalizacją nie są już chyba tak radykalne, jak w 1998 roku, o tyle pewna nuta wizjonerstwa nadal wydaje się potrzebna. Jest zresztą obecna: nie trzeba daleko się rozglądać, aby dostrzec takie książki, jak napisana przez Jane McGonigal *Reality Is Broken: Why Games Make Us Better And How They Can*

Change The World („Rzeczywistość jest zepsuta: Dlaczego gry czynią nas lepszymi i jak mogą zmienić świat”).

Powyższy komentarz wskazuje jeden z wielu powodów aktualności rozważań Jenkinsa, której nie umniejsza fakt, że powstały one w określonym kontekście. Warto również zwrócić uwagę na trzeźwość myślenia amerykańskiego autora, słusznie zauważającego, iż samo myślenie utopijne nie wystarczy – niezbędne jest zachowanie krytycznego punktu widzenia, umożliwiającego *zmierzenie dystansu między mitami i rzeczywistościami*. Twórca *Kultury konwergencji* przywołuje tutaj przykład sporządzonego w marcu 1998 roku *Techno-realism Manifesto* („Manifestu technorealistycznego”), którego autorzy proponują traktowanie namysłu nad współczesną techniką w taki sam sposób, w jaki pojmujemy postawę krytyków zajmujących się żywnością. Od tych ostatnich nie oczekuje się przecież, aby bronili istnienia przedmiotu swoich zainteresowań albo też przypuszczali nań miążdzące ataki. Zamiast tego mają odróżniać dobre produkty żywnościowe od złych, a ponadto określać kryteria pozwalające na dokonywanie tego rodzaju osądów.

Nowy humanizm

Ten ostatni przykład służy Jenkinsowi do określenia ducha postawy, jaką nazywa on nowym humanizmem. Zaznacza potrzebę wyłonienia się grupy nowych ekspertów, którzy mogliby wyjaśniać rozmaite zjawiska medialne szerszej publiczności, podatnej na sensację i łatwo przeceniającej wyniki marnych badań. Krytycznie ocenia perspektywę kształtowania biegu zdarzeń przez rozwój technologiczny, a nie świadomą refleksję nad pożądaną postacią przyszłego społeczeństwa. Jednocześnie ostrzega, że retoryka obrony bibliotek przed rzekomym zagrożeniem ze strony nowych mediów doprowadzi do upadku wiarygodności humanistów. Stąd bierze się propozycja postawy, która nie będzie związana z pojedynczym medium lub pojedynczą dyscypliną, nie będzie też ucieczką przed pragmatycznym zaangażowaniem w rozwiązywanie podstawowych problemów współczesności.

Kilkuletni projekt Massachusetts Institute of Technology pod tytułem *Media in Transition* („Media w czasie przemian”), w jakim uczestniczyli dziennikarze i aktywiści medialni, historycy, urbaniści, twórcy gier oraz pisarze science fiction, jest dla autora podstawą do wyciągnięcia

czterech wniosków. Po pierwsze, nowym sposobom komunikacji regularnie towarzyszy retoryczny konflikt *utopijnej obietnicy i apokaliptycznej zmiany*, w wyniku którego wiele z podstawowych instytucji i praktyk danej kultury podanych zostaje w wątpliwość. Po drugie, pomimo tej retoryki rzeczywista zmiana medialna ma raczej charakter ewolucji niż rewolucji, a jej przebiegu nie wyznacza determinizm technologiczny, tylko złożone współoddziaływanie czynników społecznych i kulturowych. Po trzecie, proces rozprzestrzeniania się innowacyjnych środków komunikacji nierzadko napotyka rozliczne ograniczenia, które go spowalniają i przyczyniają się do nierównego dostępu do nowych mediów. Po czwarte, idea dramatycznej zmiany często przysłania fakt istnienia form hybrydycznych lub alternatywnych, pośredniczących między starymi a nowymi mediami.

Rozwijając te stwierdzenia, badacz wskazuje, że relacje między mediami nie są grą o sumie zerowej. Zwycięstwo Internetu nie oznacza upadku telewizji; studenci MIT chętnie korzystają z cyfrowych technologii, aby słuchać audycji radiowych nadawanych z ich rodzimych krajów, takich jak Bośnia lub Serbia. Czasem zmieniają się narzędzia (na przykład sposoby nagrywania dźwięku), ale

nie istota medium. Digitalizacja nie prowadzi również do upadku kultury literackiej ani dziennikarstwa, chociaż ulegają one różnym przemianom. Współistnienie wielu technologii komunikacyjnych, tworzących skomplikowaną sieć, jest bardzo ważnym przedmiotem zainteresowania nowego humanizmu, stanowiącego wyzwanie dla tradycyjnych dyscyplin definiowanych przez odniesienie do pojedynczego medium, takich jak literaturoznawstwo i filmoznawstwo.

Konwergencja kulturowa

Jenkinsa szczególnie intryguje kwestia relacji między mediami scentralizowanymi (na przykład telewizją) i oddolnymi, współtworzącymi kulturę uczestnictwa (takimi jak Internet). W pełniejszy sposób autor przedstawi tę problematykę niemal dekadę później, we wzmiankowanej już Kulturze konwergencji; tutaj występuje ostrożniejszy termin *cultural convergence*, czyli „konwergencja kulturowa”. Obrazową ilustracją tej ostatniej jest nastoletni syn Jenkinsa, *rozłożony na dywaniku w salonie, oglądający mecz baseballa na telewizorze z dużym ekranem, słuchający techno z odtwarzacza CD oraz piszący maila do znajomych albo odrabiający pracę domową na*

laptopie. Amerykański medioznawca zdaje się mówić, że w naszym codziennym życiu zbiega się (konwerguje) wiele mediów, z których żadne w skali społecznej nie osiąga absolutnej dominacji nad pozostałymi. Co więcej, członkowie pokolenia, jakie wyrosło w takich warunkach, kierują się przeświadczeniem, iż mogą być aktywnymi uczestnikami kultury popularnej; w świecie technologii nadawczo-odbiorczych byłoby to trudne do wyobrażenia. Nowy humanizm powinien wziąć wszystkie te zjawiska pod uwagę.

Ostatnim istotnym terminem wprowadzonym przez badacza z MIT, w tym wypadku zaczerpniętym od Thomasa McLaughlina, jest „teoria wernakularna”, przejawiająca się poza środowiskiem uniwersyteckim w postaci „znaczących uogólnień tworzonych na potrzeby interpretacji lub oceny lokalnych zjawisk i praktyk”. Jenkins przeciwstawia ten rodzaj teorii rosnącemu w siłę w USA „humanizmowi korporacyjnemu”, coraz bardziej wyspecjalizowanemu i wiodącemu do zatracenia przez humanistów ich tradycyjnych ról „tłumaczy”, udostępniających intelektualne dyskusje szerszemu gronu zainteresowanych. Opozycja ta pozwala na zaakcentowanie aktywnej roli, jaką mogą odegrać badacze mediów w kształtowaniu języka

publicznej debaty. Istotne jest także przekroczenie granicy między humanistami a technikami czy też inżynierami – nieodzowne w świecie, w którym różnorodne technologie wplatane są niemal w całe ludzkie życie.

W zakończeniu Jenkins pisze, że akademicy teoretycy zajmowali się dotąd mediami statycznymi, a nawet takimi, których pozycja w kulturze zdążyła się zachwiać, nim zwróciły uwagę nauki. Tymczasem teraz przedmiotem namysłu stają się technologie komunikacyjne *in statu nascendi*, a to rodzi możliwości, których zmarnowanie byłoby wręcz przestępstwem. Pytanie brzmi, czy badacze mediów będą gotowi porzucić rolę strażników przeszłości, aby zostać wynalazcami przyszłości. Patrząc dzisiaj na rodzimy dyskurs publiczny, w którym raporty takie jak *Młodzi i media* z trudem usiłują stać się wyzwaniem dla głośnych relacji o fatalnym (podobno) stanie czytelnictwa, można powiedzieć bez wahania, że i we współczesnej Polsce to pytanie pozostaje aktualne.

Nowe wyzwania dla muzeum: NMC Horizon Report 2011

Marcin Wilkowski

The New Media Consortium (NMC) to międzynarodowa koalicja instytucji edukacyjnych i kulturalnych, w ramach której opracowywane są raporty określające perspektywy przyszłej ewolucji systemu edukacyjnego, szkolnictwa wyższego czy instytucji muzeum.

NMC Horizon Report (w tym jego część poświęcona właśnie muzeom) zostanie oficjalnie zaprezentowana 18 listopada podczas konferencji MCN Museum Computer Network. Jednak już dziś na stronie NMC przeczytać można szkic wprowadzający do tez opublikowanych w tej analizie.

Zróźnicowane formy dostępu	Zwiedzający oczekują możliwości korzystania z oferty muzeum przez narzędzia, które wykorzystują do komunikacji bez względu na to, jaki
----------------------------	--

	system będzie je obsługiwał. Muzeum powinno dostosować się do tak zróżnicowanej oferty urządzeń mobilnych czy systemów operacyjnych.
Multimedialna dokumentacja	Atrakcyjna multimedialna dokumentacja (film wideo, animacje itp.) nie jest już tylko dodatkiem do obiektów muzealnych, ale staje się niezbędnym elementem wspomagającym ich interpretację – bez względu na to, czy mówimy o fizycznym pobycie w muzeum czy korzystaniu z jego wirtualnej prezentacji.
Obfitość treści w internecie wyzwaniem dla edukatorów	Dzięki internetowi dostęp do materiałów edukacyjnych różnego rodzaju nigdy jeszcze nie był tak łatwy jak dziś. W tej perspektywie model edukacji muzealnej polegającej na objaśnianiu znaczenia prezentowanych obiektów biernie zachowującej się grupie odbiorców musi odejść do lamusa. Muzeum powinno umożliwić aktywne korzystanie ze zbiorów, pozwolić na wytwarzanie się osobistych relacji między widzem a obiektem oraz otworzyć się na wykorzystanie tych doświadczeń jako treści uzupełniających udostępnianą już

	wiedzę na temat zasobów.
Aktywni użytkownicy muzeum	Raport podkreśla istnienie specjalnej grupy aktywnych odwiedzających (makers), którym zależy nie tylko na wiedzy na temat określonych obiektów w określonej (choćby historycznej czy artystycznej) perspektywie, ale którzy także chcą szczegółowo poznać ich genezę. Są otwarci na eksperymenty, osobisty udział w rekonstrukcji przedmiotów czy zdobywanie fachowej wiedzy na ich temat.
Digitalizacja	Muzeum jest rozpoznawalne przez obiekty, które przechowuje i udostępnia. Użytkownicy muzeum chcą w łatwy sposób dotrzeć do tych zasobów – digitalizacja i tworzenie wirtualnych ekspozycji jest dobrą odpowiedzią na te potrzeby. Jednak oprócz cyfrowych wersji obiektów użytkownicy liczą na dobrej jakości katalogi i dokumentację, także w formie atrakcyjnych multimedii. To wyzwanie dla muzeum, jego struktury pracowniczej czy przygotowywanych przez nie planów i budżetów na projekty digitalizacyjne. Coraz szerszy zakres digitalizacji zmusza także do

	podejmowania działań związanych z ochroną zdigitalizowanych materiałów i ich długoterminowym przechowywaniem.
Otwartość muzeum	Rosną oczekiwania wobec społecznego i obywatelskiego zaangażowania muzeów. Muzea odpowiadają na to m.in. inicjując projekty internetowe, dbają o swoją obecność w mediach społecznościowych, tworząc warunki do pogłębionej współpracy z użytkownikami czy otwierając (uwalniając) swoje zasoby w internecie.

W swoim krótkim opracowaniu skoncentrowałem się wyłącznie na kluczowych trendach o ogólnym charakterze (*key trends*), chociaż tekst szkicu zawiera wskazania dotyczące choćby najbardziej perspektywicznych technologii, które – zdaniem autorów – powinny zostać w perspektywie najbliższych kilku lat wdrożone jako standard w praktykę muzealną (smartfony, tablety, rzeczywistość rozszerzona, książki elektroniczne).

Raport NMC powstaje w wyniku konsultacji wśród specjalistów i praktyków ze środowiska muzealnego. Niestety, jak pokazuje lista osób biorących udział w tych

działaniach dostępna na specjalnej wiki projektu, mamy tu do czynienia z wyraźną dominacją przedstawicieli amerykańskiego (czy zachodniego) muzealnictwa. Wydaje mi się, że tezy *NMC Horizon Report 2011* pomijają doświadczenia muzeów z krajów rozwijających się, ignorując przy tym bardzo wiele wyzwań i trendów związanych z tym, na jakich warunkach muszą tam funkcjonować te instytucje. Planowane więc na 18 listopada finalne tezy raportu warto ostrożnie odnosić do polskich muzeów.

O pamięci na Facebooku – *Memory at War forum*

Marcin Wilkowski

Sukces Facebooka i popularność samej idei mediów społecznościowych przekłada się na powstawanie projektów opartych o podobny model, jednak posiadających już zdecydowanie inny – bo naukowy

charakter. Serwisy takie jak HASTAC, Socialsciencespace czy Researchgate umożliwiają badaczom z dziedzin humanistycznych czy nauk społecznych nawiązywanie nowych kontaktów z osobami o podobnych zainteresowaniach naukowych, promocję własnych publikacji czy otrzymywanie na bieżąco informacji o konferencjach, grantach, ofertach pracy. Z drugiej strony ich wadą bywa wysoka bariera wejścia – konieczność założenia konta, wypełnienia profilu i jego aktualizacji, nauczenia się korzystania z nowego interfejsu.

Tymczasem Facebook jakiś czas temu udostępnił narzędzie pozwalające na tworzenie grup dyskusyjnych. Pozwala to na budowanie przestrzeni dyskusji (około) naukowej w serwisie, z którego korzystamy na co dzień i który jest dla nas naturalną przestrzenią komunikacji online.

Memory at War forum to facebookowa grupa dyskusyjna poświęcona problematyce historycznej pamięci kolektywnej społeczeństw Polski, Ukrainy i Rosji (w szerszej perspektywie oczywiście także innych krajów Europy Środkowej i Wschodniej). Została założona przez uczestników projektu Memory at War, międzynarodowej inicjatywy badawczej eksplorującej temat konfliktów

pamięci w tym regionie, zainicjowanej przez uniwersytet Cambridge i prowadzonej we współpracy z uczelniami z Norwegii, Finlandii, Estonii i Holandii.

Inicjatywa ta wydaje mi się szczególnie interesująca ze względu na silny akcent postawiony na badanie wpływu mediów (w tym także internetu) na procesy pamięci oraz bliski nam kontekst geograficzny. Na stronie projektu znaleźć można wiele materiałów – w tym prace naukowe przygotowywane na konferencje, spotkania czy warsztaty organizowane w ramach działań zespołu. Dostępne są także nagrania z seminariów.

Memory at War forum to przestrzeń dyskusji dla uczestników tego projektu oraz osób, które interesują się podejmowanymi w jego ramach zagadnieniami. Facebookowa grupa skupia dziś ponad 230 członków. Jakie treści można tam znaleźć?

Przede wszystkim – choć grupa ma charakter dyskusyjny – umieszczane są tam informacje/aktualności z krajów Europy Środkowej i Wschodniej, ukazujące w różnych perspektywach problemy konfliktów pamięci: dyskusje na temat instalacji czy burzenia pomników, rezultaty badań socjologicznych dotyczących pamięci zbiorowej w

poszczególnych krajach, informacje o ważnych książkach lub tekstach publicystycznych itp. Oprócz tego użytkownicy Memory at War forum publikują zaproszenia na spotkania i konferencje naukowe, także relacje dotyczące tych wydarzeń, promują filmy, publikacje, wybrane artykuły z mediów. Drugim – równie istotnym – elementem tej inicjatywy są oczywiście komentarze dodawane pod poszczególnymi wpisami.

Myślę, że Memory at War forum może przydać się wielu polskim badaczom, zainteresowanym problemami pamięci w perspektywie historii naszej części Europy. Ponieważ grupa ma formę zamkniętą, aby móc do niej dołączyć wymagane jest – oprócz posiadania konta na Facebooku – także zaproszenie od kogoś z aktualnych użytkowników. W grupie zarejestrowanych jest także kilkoro Polaków – osoby m.in. z Muzeum Historii Żydów Polskich, Polskiej Akademii Nauk czy Uniwersytetu Warszawskiego.

<https://www.facebook.com/groups/memoryatwar/>

Fading Community – blok jako przestrzeń dziedzictwa

Katarzyna Nowak

W przyszłym roku wysoki blok w przemysłowym Dundee zostanie rozebrany. Panna Lesie z jedenastego piętra zabierze bibeloty z parapetu i zdjęcie ze ściany obrazek w drewnianej ramce. Ktoś będzie musiał pozdzierać z tablicy na parterze ogłoszenia, regulamin życia we wspólnocie i tabliczkę oznajmującą zakaz palenia. Drzwi metalowej windy przestaną wreszcie skrzypieć, a mieszkańcy wyprowadzając się zabiorą ze sobą blokowe plotki, wrażenia ostatnich lat i miliony wspomnień. Społeczność przestanie istnieć.

„Fading Community” to praca Pawła Grzyba (studenta kierunku Time Based Art & Digital Film w szkockim University of Dundee), która wygrała konkurs na najlepszy

projekt interaktywny organizowany podczas FilmInteractive Festival.

Zachować unikalną atmosferę bloku i stworzyć platformę, na której funkcjonować będą wspomnienia jego mieszkańców – przesłanie interaktywnego projektu sugeruje, że warto to zanikanie rejestrować i uchronić od zapomnienia. Blok zostaje za pomocą aparatu i kamery wycięty z tkanki miasta i zanurzony w formalinie internetu. Na stronie internetowej www.digital-mushroom.com/Hilltown_Movie.html zaprezentowano stary kanciasty blok, którego zakamarki internauta zwiedza według obranego przez siebie kierunku. Kliknięcia myszy przenoszą nas na kolejne piętra, pozwalają porozmawiać z mieszkańcami, wyjrzeć przez okno, podejrzeć, kto zapomniał zdjąć prania czy dowiedzieć się, co dzieje się w opuszczonych lokalach.

Ta próba rejestrowania historii zwykłych ludzi *in statu nascendi* to wniknięcie w życie niewielkiej społeczności z jej codziennymi radościami i bólami, wspomnieniami i planami na przyszłość, a więc odmalowanie z pomocą cyfrowych technologii historii codzienności i mentalności. Dzięki interaktywnej formie odbiorca sam decyduje, co jest

dla niego najważniejsze i jak poruszać się w gąszczu fotografii i wideo połączonych we flashowej animacji. Dokument koncentrujący się na jednym wybranym budynku pokazuje jednocześnie przemianę miasta Dundee i wycinek dziejów Szkocji, wpisując się w próby archiwizowania współczesności.

Audiowizualny zapis stworzony został nie tylko z myślą o upowszechnianiu lokalnej historii, ale przede wszystkim o umożliwieniu mieszkańcom bloku wyrażenia siebie, zachowania wspomnień i przekazania ich kolejnym pokoleniom. Umieścić go można zatem na pograniczu historii ratowniczej i historii mówionej, stanowi on zarazem nietuzinkowy i atrakcyjny pomysł na upamiętnianie w formie cyfrowej.

¹*Web Archiving*, red. J. Masanès, Berlin - Nowy Jork, 2006.

Trzy argumenty przeciwko archiwizowaniu internetu

Marcin Wilkowski

Jeżeli słyszymy o dziedzictwie cyfrowym i zabezpieczeniu dla przyszłych pokoleń zasobów WWW, które nie mają i nigdy nie miały swojej analogowej formy (born digital), niemal automatycznie potrafimy od razu podać racjonalne kontrargumenty podważające zasadność i możliwość realizacji takich działań. Na nasze wątpliwości próbuje odpowiedzieć w *Web Archiving*¹ – wydanej w 2006 roku książce-podręczniku opisującym metodologię archiwizacji internetu – Julien Masanès. Masanès od wielu lat zajmuje się tym tematem, był m.in. szefem programu archiwizacji internetu we francuskiej Bibliotece Narodowej oraz współtworzył Internet Preservation Consortium. Dziś jest dyrektorem zarządu Internet Memory Foundation –

odpowiedzialnej za projekt European Archive, gdzie z perspektywy ogólnoeuropejskiej szuka wsparcia dla projektów archiwistyki internetowej i edukuje na temat idei cyfrowego dziedzictwa.

Jakie są więc te trzy najbardziej rozpowszechnione modele krytyki idei archiwizowania zasobów Sieci? To argument odnoszący się do (1) jakości treści dostępnych online, do (2) natury internetu jako przestrzeni, która sama się archiwizuje oraz do poglądów mówiących o tym, że (3) ze względu na skalę i koszty archiwizacji Sieci tego typu projekty nie mają racji bytu.

1. Archiwizacja internetu jest nieracjonalna ze względu na jakość zabezpieczanych zasobów

Ten punkt widzenia – jak pisze Julien Masanés – od dawna podnoszony jest przez przedstawicieli świata druku – wydawców czy bibliotekarzy i łączy się z poczuciem zagrożenia wywołanego ekspansją nowych cyfrowych mediów. Przedstawiciele starego systemu dystrybucji wiedzy nie potrafią przyjąć, że internet rozszerzył granice publikowania i formaty treści. Masanés przypomina, że historycznie rzecz biorąc limit tego, co mogło być publikowane, przez ostatnie ponad pięć wieków

wyznaczały koszty fizyczne (skład książki, przechowywanie, transport itp.). Granice w bibliotekach czy archiwach wyznaczała przede wszystkim konieczność zapewnienia fizycznej przestrzeni do gromadzenia książek lub dokumentów. To zakorzenienie w fizyczności przenoszone jest na problem cyfrowego dziedzictwa. Okazuje się, że zupełnie niepotrzebnie, ponieważ właściwości formatu cyfrowego redukują do minimum problemy związane z gromadzeniem i przechowywaniem danych (przynajmniej w wymiarze ilości danych a nie ich wieczystego zabezpieczenia). Ostatecznie dzięki temu filtrowanie zasobów wchodzących do archiwum może zostać ograniczone do niezbędnego minimum i zabezpieczyć można bardzo szeroki zakres treści dostępnych online.

Pozostaje jeszcze kwestia jakości filtrów i ich konstrukcji, jednak wyzwania, jakie wobec procesu selekcji danych generuje skala wielkości treści dostępnych w internecie nie powinny być rozpatrywane przeciwko archiwizacji internetu, raczej stać się inspiracją do działań w celu zwiększenia skuteczności już istniejących narzędzi i metod. Masanés proponuje nawet modele takiego filtrowania, oparte m.in. o współpracę między internautami a archiwistami. Pojawia się tu nawet koncepcja powszechnej,

oddolnej archiwizacji internetu, w której każdy użytkownik na własną rękę zabezpiecza swoją część zasobów Sieci – już dziś katalogujemy przecież w przeglądarkach strony, które kiedyś odwiedziliśmy i uznaliśmy, że mogą być przydatne w przyszłości.

2. Archiwizacja internetu jest nieracjonalna, ponieważ internet archiwizuje się sam

Zdaniem Juliána Masanésa podstawą takiego poglądu jest błędne przeświadczenie o tym, że technologia, na której oparty jest internet, w naturalny sposób wspiera jego samoarchiwizację. Przy takim punkcie widzenia zasoby zasługujące na zabezpieczenie na przyszłość będą archiwizowane na oryginalnych serwerach (które teraz je udostępniają), reszta po prostu zostanie usunięta. W odpowiedzi autor podkreśla duży problem efemeryczności zasobów internetowych – badania pokazują, że przeciętne życie strony WWW trwa nawet 50 dni (Zob. Cho, J., Garcia-Molina, H., *The evolution of the web and implications for an Incremental Crawler. Paper presented at the Proceedings of the 26th International Conference on Very Large Data Bases*) – w tym czasie połowa stron WWW

przestaje istnieć. Problemem jest nie tylko fizyczne usunięcie treści, ale także zmiana jej URI.

3. Archiwizacja internetu jest nieracjonalna ze względu na koszty takiej inicjatywy i wielkość zasobów

Nawet ci, którzy są przekonani co do idei archiwizowania internetu, nie potrafią uwierzyć w to, że taki projekt ma jakiegokolwiek szanse powodzenia. I to z różnych względów – nie tylko ilości danych, ale też ich formy czy statusu prawnego. Tymczasem Masanés podkreśla, że – jeśli chodzi o potencjalną skalę gromadzonych zasobów – warto odnosić ją zawsze do wciąż rosnących pojemności przechowywania i malejących kosztów nośników. Większym problemem jest włączenie w proces archiwalny zasobów z ukrytego internetu, pozostającego poza zasięgiem robotów wyszukiwarek. To, że można z powodzeniem archiwizować powierzchniowy (surface) internet udowadnia od lat Internet Archive.

Jeśli chodzi o kwestie związane z ochroną prywatności, Masanés podkreśla, że archiwizowany jest Web (strony internetowe i zasoby dostępne przez protokół http). Zasoby WWW są z reguły publicznie dostępne (właśnie na dostępności opiera się przecież idea World Wide Web).

Komunikacja mailowa nie jest w ogóle objęta procesem archiwizowania, bo korzysta z zupełnie innych protokołów, niedostępnych dla botów budujących archiwum.

W dalszej części rozdziału znaleźć można przynajmniej jeszcze jeden ważny argument za koniecznością podejmowania działań archiwizujących zasoby WWW. Sieć (*Web*) jest po prostu bogatym artefaktem kultury, hipertekstowym i dostępnym globalnie, zazwyczaj za darmo, z każdego miejsca na świecie podłączonego do internetu. Jest także otwartego i rozproszonego autorstwa.

Przyznam się, że odpowiedzi Masanésa nie usunęły części moich wątpliwości. Najbardziej trafił do mnie argument pokazujący, że to, w jaki sposób definiujemy archiwum i jego filtry zależy w dużym stopniu od dominującej formy gromadzonych zasobów. Instytucje, które powstały wokół kultury druku – zastanawiając się nad problemem dziedzictwa cyfrowego – muszą przestawić się z trybu analogowego na cyfrowy. Z drugiej strony, ponieważ *Web Archiving* wydano w 2006 roku, Julien Masanés nie mógł odnieść się do moim zdaniem coraz ważniejszej i interesującej perspektywy archiwizacji internetu, czyli sieci społecznościowych online, rozumianych nie tylko przez

pryzmat treści, jakie powstają w ich ramach, ale także relacji między użytkownikami. Archiwizacja SNS to jednak już zdecydowanie większe wyzwania związane z ochroną prywatności i dynamiczną formą gromadzonych danych.

Koniec świata 2.0

Piotr Tafiłowski

Nigdy nie należałem do bezkrytycznych entuzjastów samoorganizującej się gospodarki rozproszonej, „oddawania określonych zadań w ręce tłumu (*crowdsourcing*), bystrego tłumu (*smart mobs*), mądrości tłumu (*crowd wisdom*)” czy też usieciowionej inteligencji, tak jak autorzy książki o Wikinonii (D. Tapscott, A. D. Williams, *Wikinomia : o globalnej współpracy, która zmienia wszystko*, Warszawa 2008, stamtąd też pochodzi cytaty). Sympatyzuję natomiast z gronem sceptyków podkreślających niebezpieczeństwa, jakie wyniknąć mogą z „anarchistycznej”, nie ujętej w żadne taksonomiczne ramy działalności internautów. W odniesieniu do dającego się zaobserwować kryzysu tej filozofii nie odczuwam żadnego

rodzaju Schadenfreude, chciałbym jednak zaprezentować swój do niej całkowicie subiektywny komentarz.

Przede wszystkim nie oszukujmy się, „mądrość tłumu” nie jest w istocie żadną „wiedzą”, na której można opierać nowoczesną gospodarkę czy naukę. Przykłady podawane przez D. Tapscotta i A. Williamsa raczej potwierdzają tezę, że tę mądrość tłumu można wykorzystać instytucjonalnie, kiedy ukierunkowuje się ją na realizację pewnych zadań w organizacjach dysponujących zapleczem i kapitałem. Nie jest ona natomiast potencjałem mogącym wygenerować samorzutnie jakąś wartość bez uprzednich inwestycji. Rzeczywistość końca pierwszej dekady XXI wieku odarła ze złudzeń ekonomistów wierzących w niewidzialną rękę rynku, teraz zdaje się odzierać z nich entuzjastów chmury.

Wyraźnym sygnałem ostrzegawczym, którego nie mogą oni zignorować, są tu kłopoty Wikipedii. *Komentatorzy zwracają również uwagę na – ich zdaniem – zbyt skomplikowany sposób edycji artykułów. Aby biegle tworzyć nowe treści, autor tekstów musi zapoznać się ze sposobem tworzenia haseł w Wikipedii. Jak się okazuje, przyswojenie kilku prostych zasad, dotyczących tworzenia haseł encyklopedycznych staje się dla coraz większej liczby*

internautów problemem nie do przejścia pisze Ł. Michalik na łamach Vbeta.pl. Nie jest możliwe, by takie osoby mogły tworzyć nowoczesną gospodarkę i naukę. Jaką „mądrość” one sobą reprezentują? Ile warta jest treść tworzona przez kogoś, kto nie jest nawet w stanie zrozumieć nieskomplikowanych zasad tworzenia haseł encyklopedii internetowej?

Niedawno pisałem o tym, że internauci nie potrafią korzystać z jednego z najprostszyc narzędzi dwuzerowych, tj. tagowania. Pozostając jeszcze na chwilę przy tymże serwisie społecznościowym: jego pierwotna idea dawno już umarła. Od dawna nie przeprowadza się tam zwykłych wymian z wolnej ręki, niestety rzadko zdarza się, że jakiś użytkownik udostępni dobrą książkę, poszukiwaną przez innych. Górę wzięł merkantylizm, książkami wymienia się teraz tylko na zasadzie „coś za coś” w transakcjach prywatnych.

Marcin Wilkowski pytał¹, czemu historycy nie publikują online. Odpowiedź jest prosta: z tego samego powodu – nie mają bodźca. Nie ma w Polsce punktowanych historycznych czasopism elektronicznych (jedynym znanym mi wyjątkiem jest lubelska „Kultura i Historia”

<http://www.kulturaihistoria.umcs.lublin.pl/>, wydawana przez Instytut Kulturoznawstwa UMCS, z czego wynika jasno, że nie jest to pismo sensu stricte historyczne), w związku z czym tekst opublikowany online nie liczy się do dorobku naukowego. Choćbym więc pisał co tydzień ważny i głęboki tekst i publikował go w Internecie, w ocenie parametrycznej będę oceniony tak samo jak ktoś, kto przez cały rok nie napisał ani jednego sensownego zdania.

Zwolennicy idei Open Access mówią głównie o pieniądzach, które chciwi autorzy i wydawcy wyciągają z kieszeni biednych studentów i innych pracowników naukowych. Odnoszę czasem wrażenie, że mamona całkiem przysłania im obraz rzeczywistości. Prawda jest bowiem taka, że nauka nie może funkcjonować bez finansów. Nie można prowadzić badań za darmo. Potrzebna jest do tego infrastruktura, która kosztuje. Ten sam problem uwidacznia się bardzo wyraziście w przypadku dziennikarstwa prasowego, na co nieraz już zwracano uwagę. Z jednej strony mamy bowiem solidne, rzetelne rzemiosło akredytowane tytułem czasopisma oraz nazwiskiem autora, z drugiej zaś dziennikarstwo internetowe, operujące przetwarzanym na różne sposoby informacyjnym półproduktem. Nauka warsztatu, a

następnie zdobywanie informacji, ich weryfikacja, wyrabianie sobie własnej opinii, bezstronność – wszystko to wymaga czasu oraz zaplecza i funduszy. Niezliczone portale internetowe oferują nam dostęp do informacji bezpłatnie, tutaj jednak kosztem, jaki ponosimy, jest ich rzetelność i wiarygodność. Nie wolno zapominać, że treści dostępnych za darmo nie da się wyczarować ex nihilo, a wszystko ma swoją cenę (w tym przypadku w najlepszym razie jest to jedynie pasożytnictwo na mediach maintreamowych). O budowaniu solidnej wiedzy nie może jednak być tu mowy.

Twierdzenie, że ktoś zbija miliony dolarów na publikacjach artykułów naukowych to albo grube nieporozumienie, albo świadome kłamstwo, zwłaszcza jeśli mówimy o nauce polskiej czy europejskiej. To prawda, że dostęp do baz typu ProQuest czy Ebsco jest bardzo drogi, ale nie dajmy sobie wmówić, że każdy cent wydany na ich zakup trafia do kieszeni chciwego kapitalisty jako jego czysty zysk.

Każdy pracownik naukowy wie, że z publikacji nie da się wyżyć (naukowe czasopisma z zakresu historii nie płacą autorom za teksty), więc międlenie o tym, że dla wspólnego dobra powinniśmy zrezygnować z mitycznych

olbrzymich zysków wzbudza jedynie pusty śmiech. Ale jeśli pisać i publikując w Internecie nie będziemy mieli ani pieniędzy, ani publikacji liczących się do oceny parametrycznej (dorobku naukowego), to cały system, który zwolennicy OA próbują budować, załamuje się już w punkcie wyjścia. Akademicy po prostu muszą mieć coś z tego, że prowadzą badania naukowe (poza czystą satysfakcją). Dopóki nie zajdą tu jakieś zasadnicze zmiany, dywagacje na temat Open Access będą częścią gadaniną.

Ewentualny wyrok skazujący dla Aarona Swartza² będzie wyraźnym sygnałem hamującym darmowe udostępnianie tekstów, szczególnie w sieciach pirackich. Wyrok taki, przy obowiązującym w krajach anglosaskich prawie precedensowym, otworzyłby furtkę do pociągnięcia do odpowiedzialności karnej kolejnych piratów.

Jeśli się nie mylę, to jedynie Google potrafiło wykorzystać na dłuższą metę ową mityczną „mądrość tłumu”. Pamiętajmy jednak, że tutaj wymaga się od użytkownika najmniej: nic nie trzeba robić, wystarczy klikać. Nie zdał natomiast egzaminu taki Web 2.0, w którym od użytkownika wymaga się więcej wysiłku, zaangażowania i przede wszystkim rzeczywiście, rzetelnej wiedzy.

Wniosek płynie stąd taki, że każda działalność ludzka potrzebuje stymulacji i odpowiedniego ukierunkowywania. Nie jest prawdą, że teraz wszyscy będą robili wszystko za darmo, za darmo oddawali swoją własność intelektualną, z której wszyscy będą mogli do woli korzystać. Dwuzerowy optymizm nie tylko staje na przekór zdrowemu rozsądkowi, próbuje także zawrócić miliony lat ewolucji, która wykształciła w nas zdrowy egoizm; nigdy nie było tak, żeby bezinteresownie oddawać obcym osobnikom efekty własnej pracy. Co więcej okazuje się, że wszystkim sterować muszą stać jakieś mechanizmy regulujące, pobudzające ruch i zasilające maszynę energią, smarujące jej tryby.

Eksperyment z sieciowym komunizmem nie wypalił. Nic obecnie nie wskazuje na to, że 2.0 ma jakiekolwiek poważne zastosowania w nauce czy kulturze wyższej, choć jest już nie do zastąpienia w komunikacji i rozrywce. Facebookowi nic nie grozi, ale przyszłość Wikipedii stoi pod znakiem zapytania.

¹ zob. <http://historiaimedia.org/2011/07/03/dlaczego-historycy-nie-publikuja-online/>

² zob. <http://historiaimedia.org/2011/08/20/partyzancki-open-access/>

Siedem grzechów polskich konferencji naukowych

Emanuel Kulczycki

Uczestnicząc i organizując konferencje naukowe, można po pewnym czasie dojść do wniosku, że nie wszystko funkcjonuje tak, jak powinno. Spotkania te cieszą się w środowisku akademickim specyficznym powodzeniem, którego źródeł należałoby upatrywać zarówno w sferze naukowej jak i (może przede wszystkim) towarzyskiej.

Zgłaszając się na konferencje, każdy musi sobie odpowiedzieć na pytanie: „Czy warto?”. Z jednej strony, uczelnie i ministerstwo wymagają od akademików wzmożonej aktywności naukowej, z drugiej zaś, nie doceniano w dorobku naukowym roli wystąpień na konferencjach. Ostatnimi czasy zmienia się to (widać to np. w projekcie nowych wytycznych w sprawie habilitacji), jednakże chodzi o wystąpienia, a nie o „publikacje”

pokonferencyjne, które traktowane są przez wielu jako nic niewarte papiery.

Tytuł tego tekstu zawiera jasną i klarowną tezę: będzie mowa o grzechach, czyli o przekraczaniu pewnych norm – nie religijnych czy moralnych, lecz dobrej roboty jak rzekłby Tadeusz Kotarbiński i – czegoś tak ulotnego – jak „dobrego smaku”. Poniżej znajduje się „Siedem grzechów polskich konferencji naukowych” – jest to moja ocena, na wypracowanie której przyczyniły się doświadczenia związane z organizowaniem, występowaniem i uczestniczeniem w konferencjach w polskich ośrodkach naukowych. Muszę jeszcze coś doprecyzować: piszę przede wszystkim o konferencjach humanistów, gdyż nie mam absolutnie żadnego pojęcia jak to wygląda o fizyków teoretycznych czy budowniczych maszyn i mostów.

Zestawienie otwiera największa bolączka polskich konferencji, czyli:

1. Zakres tematyczny

Niemalże wszystkie konferencje, z którymi się spotkałem, miały źle dobrany zakres tematyczny. Można spotkać się z konferencjami o takich (przykładowych) tytułach jak:

„Świat i człowiek” czy „Media i polityka”. Okazuje się wówczas, że na jednej konferencji (jedynie porządnie zorganizowane panele mogą to uratować) mamy wystąpienia o „Zagrożeniach wynikających z przetwarzania papieru kredowego” i „Propedeutyce do ontologii fundamentalnej”. Wówczas okazuje się, że jedynym celem zorganizowania konferencji było nabicie sobie punktów przez występujących i wstawienie kolejnej „kreseczki” do tabelki aktywności naukowej. Na takiej konferencji ciężko jest wysłuchać więcej niż dwóch referatów, bo po prostu nie wiadomo o co chodzi i co jest wspólnym mianownikiem spajającym całość.

Po drugiej stronie mamy bardzo specjalistyczne konferencje, na które przychodzą jedynie sami zainteresowani (referenci) i spotykają się we własnym sosie, używając własnego języka. Takie konferencje oczywiście są potrzebne naukowcom. Ale czy komuś jeszcze?

2. Wysokie opłaty, czyli współfinansowanie druku

Na konferencje muszą jeździć wszyscy: doktoranci, asystenci, adiunkci, profesorzy. Patrząc na to, że koszt

jednej konferencji w Polsce potrafi wynieść 1000zł, a często jest to przedział pomiędzy 300-500zł, można się zastanowić: Co tyle kosztuje? Odpowiedź jest praktycznie zawsze ta sama: wydanie tomu pokonferencyjnego. Żeby było jasne: nie chodzi mi o samą kwestię finansowania, ale o to, że nie można się zgłosić na konferencję, żeby „tylko” wygłosić referat – zawsze w pakiecie jest koszt druku – chociaż byśmy tekstu nie dostarczyli.

3. Brak dostępu do materiałów

Nie znam zbyt wielu konferencji, które można było oglądać w czasie rzeczywistym w sieci. Rozumiem, że kiedyś (przy słabych łączach internetowych) było to utrudnione. Jednakże obecnie można mieć bez problemu przepustowość 100Mb/s, a to pozwala już na w miarę swobodne korzystanie z serwisów streamingujących.

Jeżeli konferencja w wersji online jest zbyt dużym wyzwaniem dla organizatorów, to może chociaż zacznijmy filmować poszczególne wystąpienia i wrzucmy je na YouTube lub Vimeo. Można byłoby zbudować bazę (katalog) wystąpień i – nie ma co ukrywać – popularyzować w ten sposób konkretnych badaczy i ich koncepcje. Coś takiego na pewno podniosłoby rangę samych imprez: za

przykład można podać filmy, które na swoich łamach zamieszcza np. portal Wiedza i Edukacja.

Zdaję sobie sprawę, że konferencje w wersji wideo nie są jeszcze tak popularne. Ale czy naprawę aż tak wielkiego wysiłku wymaga zamieszczenie referatów (prezentacji) na stronie konferencji zaraz po jej zakończeniu? Dzięki temu mogliśmybyśmy zapoznać się z materiałami z wydarzenia, w którym nie mogliśmy uczestniczyć, a prelegenci mogliby je traktować jako *working papers* – zabezpieczenie oryginalności do czasu wydania publikacji pokonferencyjnej.

Jak już taki tom się ukaże (prawie nigdy nie jest to tom pokonferencyjny, ale niemalże zawsze... „monografia”), to praktycznie nigdzie nie można tego znaleźć. Nie mówiąc już o zamieszczeniu wersji elektronicznej w sieci.

4. Jeden referat w wielu odstępach

Zmorą polskich konferencji są „stali bywalcy”. Pojawiając się na różnych konferencjach, można spotkać te same osoby. Na początku wydaje się to zwykłym przypadkiem, jednakże po pewnym czasie okazuje się, że słyszymy wciąż ten sam referat! Zmienia się tytuł (zawsze dopasowany do

tytułu konferencji) i główna „zmienna” tekstu. Raz mamy referat o roli kobiet w kulturze, drugim zaś razem (niemalże ten sam referat) o dylematach współczesnego człowieka. Symptomatyczne jest też to, że tacy „stali bywalcy” nie dają swoich tekstów do tomów pokonferencyjnych. A nuż ktoś by coś zauważył.

5. Długość trwania referatu i moderacja

Czasami wydaje mi się, że ktoś powinien napisać poradnik: „Jak zorganizować konferencję naukową”. Kiedy widzę potencjalny program konferencji, w którym od godziny 8:00 do 18:00 są dwie 15 minutowe przerwy, a w każdej godzinie zegarowej są 4 wystąpienia, to już z miejsca sobie odpuszczam. Po pierwsze: zawsze wszystko się obsuwa, więc referent ma ostatecznie 10 minut na wystąpienie. No i najlepiej jak „panel dyskusyjny” jest na końcu: wówczas możemy być pewni, że o godz. 18:30 padnie mnóstwo pytań do prelegenta z godziny ósmej (którego i tak pewnie nie ma już na sali). To można nazwać jedynie „(pod)grzechem dezorganizacji organizatorów”.

Wszystko to mogłoby się jakoś poukładać, gdyby moderatorzy naprawdę moderowali: ale jak zwykły magister może przerwać (lub nawet zasugerować

wcześniejsze zakończenie) referat profesorowi. To nie wypadła!

6. Forma wystąpień

Prelegenci, którzy nie tyle chcą występować, co muszą występować, często robią to bardzo niedbale. Niektórzy słyszeli, że wypada użyć prezentacji (najlepiej PowerPoint) i wrzucają w nią całość wystąpienia: 40 slajdów, pismo Comic Sans na zielonym tle, rozmiar 12. I tak przez 45 minut. Zdarza się również np. mówienie obok mikrofonu – wszystko to zebrane razem powoduje, że niejednokrotnie ciekawa treść zostaje stłamszona przez formę. Oczywiście nie jest to „typowa” bolączka polskich konferencji: jednak niejednokrotnie miałem możliwość obserwować na jednej imprezie zestawienie polskich „gwiazd-profesorów” z ich zagranicznymi odpowiednikami. Najczęściej zestawienie wypadło druzgocąco dla rodzimych akademików.

Do grzechu „Formy wystąpień” dodałbym jeszcze organizowanie „międzynarodowych” konferencji w Polsce, na których po angielsku (lub tak im się tylko wydaje) występują polscy badacze przed polską publicznością. Punkty, punkty, punkty.

7. Dyskusje

Debaty oczywiście są pożądane – niejednokrotnie są kwintesencją samej konferencji. Jednakże często miałem okazje obserwować dyskusje, w których słuchacz na sali (często prelegent na tej samej konferencji) odnosił się do występującego bez należytego szacunku, a zabranie głosu służyło jedynie nieuprzejmemu wytknięciu błędów i pokazaniu swojej wyższości. To nie przystoi. Jeżeli poziom referatu naprawdę był żenujący, to należy winić za to przede wszystkim organizatorów: za brak należytej selekcji.

Uczestniczyłem oczywiście w wielu ciekawych konferencjach, które nie były obarczone powyższymi przewinieniami – o to jednak muszą postarać się zarówno organizatorzy, występujący, jak i słuchacze. Moim zdaniem o ważności konferencji wcale nie świadczą wydane tomy pokonferencyjne, ani też same referaty – ale nawiązane znajomości i podjęte rozmowy w kularach. Niestety. A może nie zgadzacie się ze mną?



Materiały w tej broszurze podobnie jak wszystkie artykuły w serwisie Historia i Media dostępne są na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Unported (CC BY-SA 3.0).

Zapraszamy do odwiedzenia strony historiaimedia.org